

MICHAEL DANA GIOIA

SŁOWA

Świat nie potrzebuje słów. Wyraża się słońcem, zielenią i cieniem. Przydrożne kamienie, bez indeksu czy inwentarza, pozostają na wskroś rzeczywiste. Liście szumią wyłącznie w dialekcie czystego bytu, a pocałunek nie musi wcale nazywać się pocałunkiem, by istnieć pełnią istnienia.

Nazwać go, choć słowem, znaczy go ograniczyć, uczynić *występnym, niewinnym, przelotnym, rutynowym, ukradkowym*— Nazwać go pocałunkiem to zdradzić podniecenie dłoni muskających skórę lub ściskających ramię, to obnażyć płynne krzywizny szyi lub kolana i ciszę splecionych języków.

A jednak, kamienie pozostają mniej rzeczywiste, gdy nie znamy ich nazw, ślepi na nieme sylaby wyryte w kryształach kwarcu. Widzieć czerwony kamień to mniej niż zobaczyć jaspis— skałę metamorficzną, brata krzemienia, z którego lud Kiowa wycinał groty swych strzał. Bo nazywać to znać i pamiętać.

Słońce nie potrzebuje pochwały za to, że przesywa szarugę, maluje światłem liście i skały, a każdą błyszczącą kropelkę rozprasza w eterze, by uszła na łono matczynej chmury. Światło nie potrzebuje pochwały, więc chwalimy je nieustannie— Przerasta nas i przyćmiewa wszystkie znane nam słówka.

*w tłumaczeniu Heleny Sitarek*